

Jak, gdzie, dlaczego

Powrót tego dnia niczym się nie różnił od innych jej powrotów. Przynajmniej od kilku ostatnich dni. Setki powtórzonych wiadomości, nie wiem – może – być może tak – nie mamy – nie mamy, ale mają przywieźć – nie przywieźli – nie mamy. Przez kilka, kilkanaście godzin, a potem do domu.

Z każdym dniem pomoc zastygała na barkach tych nielicznych, którzy nadal codziennie przychodzili, czasem przynosili własne kanapki, litry zupy w pożyczonych termosach albo dzielili się zakupami z Biedronki. To najczęściej. W końcu wystarczy przejść na drugą stronę dworca. Nadal się też dziwili, że fala ludzi nie malała, choć media zachłystywały się kolejnymi sukcesami. Oni tam, w tym namiocie, mieli nadal wrażenie, że front się przeniósł do nich. Uzbrojony jedynie w przerażone oczy, zasznurowane z bezsilności usta i pięści. Czasem w palce, zaciśnięte do zbielenia kostek na dłoni dziecka, które może się zgubić w tym obcym, chyba niechętnym kraju, a języka nie zna. Zresztą do obcych ma się nie odzywać. Uczyli w szkole.

Padasz ze zmęczenia, ale pomagasz, bo nikt inny tego nie robi. A wieczorem wypychają cię do domu, masz się przespać, choć tyle zrób dla siebie. Całego świata nie zbawisz, wszystkim ludziom nie pomożesz. Kto nie pomoże, ja nie pomogę? Ty. I ona. I on.

Więc wracasz do domu.

Zastanowiła się, po co ma wracać. Jej podobno lepsza połowa właśnie wyjechała na działkę, zabierając młodego. Bo weekend. Bo z dala od miasta. Bo cisza i spokój. Bo bez uchodźców – to była jej wersja, ale coraz częstsze wyjazdy w jedyne miejsce, gdzie był „u siebie” raczej o tym świadczyły. Ją zostawiał w mieście na pożarcie.

Do pewnego stopnia te wolne weekendy jej odpowiadały. Miała więcej czasu. Który spędzała na dworcu. Proste, prawda? W domu by się nudziła, a tak wyciskała z czasu każdą sekundę, poświęcając ją w dobrym celu. Choć nie z myślą o sobie.

W domu miała przecież dodatkową parę oczu, która ją bacznie obserwowała. Wiedziała o tym. Takie rzeczy się po prostu wie. Śledziły ją wszędzie. Gdy wychodziła rano z łazienki i gdy padała w sobotnie weekendy, zostawiając smugę tuszu na poduszce. Makijaż się przecież zmywa przed snem. Gdy zakładała krótkie sukienki, bo lato. Za pierwszym razem, gdy złapała to spojrzenie, ulotne jak myśl, gdy przechodzisz na zielonym, poczuła się jak na pierwszej randce. Lata temu. Z kimś, kto nie został jej mężem. Ale także nie był rodziną, wciśniętą na siłę do jej życia, choć na to się zgodziła.

Miała jej dość, ale bała się do tego przyznać. Drażniły ją drobiazgi, które normalnie nie mają znaczenia. Odkręcona tubka od pasty, okruchy na blacie w kuchni, niezastłonięte rolety, przez które przebijało się letnie słońce, domagające się przestrzeni. Późne chodzenie spać i zbyt wczesne wstawanie. Obiad, który na nią czekał, a ona przecież uwielbia polską kuchnię, ale tylko zupy, i nie wciśnie w siebie żadnego dania z mięsem. Chyba że to ona je robi.

Kwiaty z okazji i bez okazji. Syrniki dla ciebie, bo tak ciężko pracujesz. Ta śliczna galaretką, którą miała ochotę rzucić o ścianę, żeby sprawdzić, czy cukierniczy barwnik rozleje się paletą kolorów po jej nieskazitelnie białych ścianach, także była dla niej. Pękające ciasteczka też, choć słodczy nie tyka. Ale to tylko odrobina czekolady, a czekolada to magnez, a Anka tak źle ostatnio wyglądała.

Z niechęcią wchodziła po schodach. Windą wjedzie zbyt szybko, a ją niosła niewypowiedziana na głos wściekłość. Na niego, bo ją zostawił na cały weekend samą. Na koordynatora, bo powiedział, że zmęczenie za chwilę ją

wyrzuci z grafiku na dłużej, a że jest mniej pracy, to może ten weekend spędzić w domu.

W domu. Z nią. Tylko z nią, bo gdzieś wysłała dzieci. Nie pytała. Nie jej cyrk, gdyby ktoś pytał.

Więc zostały we dwie.

Ile jest schodów na piąte piętro? Nigdy się nad tym nie zastanawiała. Na pewno dziewięć na parter, potem może wsiąść do windy, ale nie chce. Jedno półpiętro, drugie i ma już pierwsze piętro. Chyba osiemnaście. Plus dziewięć z dołu. Liczenie schodów w dzieciństwie ją zawsze uspokajało. W dzieciństwie.

Teraz jeszcze bardziej rozdrażniona otworzyła drzwi. Przywitała ją cisza, która dźwięczała z każdym krokiem. Była sama. Tak więc szybki prysznic, chłodne wino z lodówki. „Zobaczysz, wpadniesz kiedyś w alkoholizm, skoro tak zaczynasz weekend” – usłyszała Piotrka, jakby stał obok. Piotr Szymon. Skała. Chyba wapienna.

Nic nie musiała. Mogła. Chciała lub nie. Pewnie by nawet zapaliła, ale nie lubiła zmywać zapachu papierosów. Z siebie, z włosów. Szybki prysznic, żeby wypucować ten fascynująco jebany tydzień, potem kilka sekund na włożenie czegoś lekkiego i równie niepraktycznego. Krótkie sukienki to zaproszenie, wybrała więc spodnie, choć krótkie.

W sumie sama nie do końca wiedziała, jak długo siedziała z nogami na balustradzie. Najlepiej. Z widokiem na wszystko, chociaż z głową jednak w sypialni. I z kieliszkiem w dłoni. Chociaż nie, kieliszka już dawno nie było. Ukrył się w kuchni razem z otwieraczem. Koneserzy wina się nie znają. Wino najlepiej wchodzi latem prosto z butelki, z nogami na balkonie.

Wtedy uderza prosto do głowy.

Ile tak siedziała? Na pewno pierwszą butelkę. Gorąco, chciała pić, więc całą wieczność, potrzebną na osuszenie mniej więcej butelki. Nieco krócej lub nieco dłużej, zasadniczo nie ma to znaczenia.

Lekki niepokój wyrwał ją z tego stanu półświadomości, gdy nawet kłótnie sąsiadów i ryk dziecka z piętra nad nią już nie wbijały się głośnym klinem do jej mózgu. Coś się zmieniło. Ktoś się pojawił. Ona.

Anka chyba nawet się uśmiechnęła. Do jej doskonałego ciała, które spędziło godziny w klubie fitness. Do jasnych włosów, choć według diagnozy jej męża to doczepy. Tak przynajmniej mówią koledzy w pracy. Pomachała jej przyjaźnie pustą butelką i cmoknęła powietrze. Chyba nie chciała, ale przyniosła jej drugą butelkę. Tylko otwieracza nie przyniosła. Usiadła obok. Poprawiła włosy. Najpierw swoje, potem Anki.

Najpierw poczuła delikatny zapach jej perfum. Lubiła je. Singorina. Klasyka choć zaledwie kilkuletnia. Poczuła muśnięcie ust, gdzieś na twarzy. Nie, na pewno nie ust. Czegoś delikatnego. Frywolnego jak mawiała ciotka Stefania. Czemu właśnie ona jej się teraz przypomniała? Dziwne. Drugi raz. I trzeci. Bezwiednie zacisnęła usta. Kojący szept z prośbą. Poddała się. Nic nie musi. Może. Jeszcze nie wie, czy chce.

Chciała.

Poczuła, jak dłonie pieszczą jej skórę. Zaskoczenie. To nie dłonie jej męża. To inne dłonie niż dłonie jej fizjoterapeutki. I dotyk inny. Delikatny. Zawstydzający. Matko, co ona robi? Czemu jej dłonie tak niebezpiecznie zbliżyły się do piersi? Nie, nie, nie, dość tego! Kończymy tę zabawę.

Chociaż nie, to takie... Ach, ta ciotka Stefania. Jak ona potrafiła dobrać słowa!

Poddała się, chociaż jeszcze udawała, że nie chce, że palce delikatnie muskające skórę, jakby szukały drogi na skróty, nie trafią. Tam. Ona jest dorosła, ona wie, że nie o wszystkim się mówi głośno, ale przecież są takie strefy, które są zarezerwowane tylko dla... Skąd ten kojący chłód i dlaczego czuje go tam, gdzie dotąd zwykle lądowały ręce i czasem język jej męża? Wibrator też, ale o jego istnieniu Piotrek nie wiedział albo udawał. Jednak nie wiedział. Chyba. Na pewno.

Lubi to. Jak na Facebooku. Chce mocniej. Nie chce. Nie może. Poddała się rytmowi, narzuconemu wcale nie przez nią. To ją przerażało. To nie ona kontrolowała tę sytuację. To... to... to się wymknęło spod... Ale ona jeszcze to naprawi. Może przecież ją odepchnąć. Wiedziała, że tego nie zrobił, chociaż bała się tego, do czego ją pchała ta siła.

Walczyła każdym oddechem, który coraz szybciej i płycej wypełniał jej płuca. Jeszcze jeden, po którym nie wiadomo co będzie, choć nadal żyła. Czuła, a może zgadywała, że krew zalewa jej twarz swoistym gorącem. Nie, ona nie może, nie dzisiaj, nie z kobietą. Ona właściwie nie lubi kobiet. Także w życiu. Niech ona zabierze tę dłoń, która zabłądziła w miejsca, o których istnieniu tylko czytała. Nie. Nie może przecież krzyczeć. To nie walka. To walka. Nie o życie. O oddech. Coraz szybszy. Coraz płytszy.

Ostatki wina wyparowały jakiś czas temu, gdy sekundy zamieniały się w długie minuty czegoś niełatwego do określenia. Przestała się kontrolować. Chwilowo nie jest tą chodzącą doskonałością. Jest tylko. Jest aż. Jest tu.

Potrzebowała tego jęku, przechodzącego w krzyk, wcale nie niemy, co ją zaskoczyło. W dupie z sąsiadami. Pewnie wiedzą.

Zapadła się w nicość chłodnej pościeli. Satyna. Najlepsza na lato. Przeszła przez czyściec, za którym pojawiła się wizja czegoś, co trudno chwilowo

przełożyć na słowa. Czyścić? Serio? A jakież to winy musiała odkupić? Chyba Tuska.

Powoli, wstydliwie, jak zarumieniona pensjonarka podniosła powieki. Błękit nieba i głębia wody patrzyły na nią, przenikając ją do szpiku niewypowiedzianych słów. Bo przecież ani jedno słowo nie padło.

Jej ciało krzyczało o więcej.

Wieczór, wydając ostatnie tchnienie, sennie mruczał nad losem mieszkańców. Ciepła noc otuliła kołdrą ze snów i Wierę, która przyjechała z córką, tak, jak stała, i Zoję z jej ośmioma kotami, i Irynę z małym Mykytą, który zostawił w domu ukochanego psa i ciągle pytał, czy na pewno ktoś go nakarmi. Dziadek albo sąsiad. Pozwolił, aby na tym lepszym boku zasnęła i zmęczona kobieta. Dobranoc, Warszawo.

I tylko Anka zastanawiała się, co się właściwie stało.